Rozstrzelane odrodzenie 3.0

Agnieszka Matusiak

Rozstrzelane odrodzenie 3.0
a imperialna genetyczna dziedziczność „wielkiej kultury rosyjskiej”

„Ambicjonalna południowa kampania Imperium Rosyjskiego za czasów Katarzyny II – dwie wojny rosyjsko-tureckie (1768–1774 oraz 1787–1792) – zakończyła się zajęciem wybrzeża Morza Czarnego, przyłączeniem Krymu (1783) i interwencją na Kaukazie. Jednocześnie w wyniku trzech rozbiorów Polski (1772–1795) Rosja znacznie rozszerzyła swoje terytorium na zachodzie. W drugim dziesięcioleciu XIX wieku po rewolucji francuskiej i wojnach napoleońskich Rosja okazała się najpotężniejszym państwem na wschodzie Europy, do czego przyczyniło się również przyłączenie Finlandii (1809) i Besarabii oraz kontrola dorzecza Dunaju (1812). Wojna z Persją (1804–1813) oraz Imperium Osmańskim (1806–1812) przypieczętowały imperialny status Rosji” – tak o realizacji ambicji imperialnych Rosji pisze kanadyjski slawista ukraińskiego pochodzenia Myrosłav Shkandrij („Russia and Ukraine. Literature and the Discourse of Empire from Napoleonic to Postcolonial Times”, 2001). Autor skupia się na relacjach rosyjsko-ukraińskich i ich literackim obrazie w piśmiennictwie rosyjskim: „W trakcie rozwoju owej ekspansji Rosja zdecydowanie wzmocniła swoje panowanie nad Ukrainą poprzez przyłączenie Prawobrzeża (na skutek drugiego rozbioru Rzeczpospolitej w 1793 roku), zlikwidowanie Siczy Zaporoskiej (1775) i Hetmanatu (1781) oraz ujednolicenie systemu administracyjnego i wprowadzenie pańszczyzny. Zdobycie terenów Imperium Osmańskiego propaganda carska przedstawiała zaś jako sprawiedliwą walkę chrześcijan z barbarzyńskim islamem. Z kolei odebranie terytorium Rzeczpospolitej, które odmalowywano jako triumf prawdziwej wiary prawosławnej nad zepsutym katolicyzmem, Rosja motywowała czystym pragmatyzmem: twierdzono, iż realia polityczne jednoznacznie dowodzą, że w imieniu Słowian powinien wypowiadać się tylko jeden potężny głos, a żeby tak się stało, należało usunąć historycznego konkurenta, pretendującego do tej misji. Stosunek wobec Ukrainy był znacznie bardziej złożony. Stopniowe przyłączenie Lewobrzeża w przeciągu poprzedniego stulecia było przedstawiane jako rezultat mądrości ukraińskich działaczy państwowych, którzy uznali, że w słusznie pojętym interesie sprawy ukraińskiej będzie scalenie się z Rosją w celu stworzenia jednego słowiańskiego nadpaństwa. Rosja traktowała związek z Ukrainą znacznie ściślej niż z innymi świeżo przyłączonymi zdobyczami terytorialnymi. Faktycznemu zagrabieniu Lewobrzeża, interpretowanemu jako «reunifikacja» z Rosją, nadano wymiar powrotu do «macierzy». Taki właśnie termin został użyty w 1654 roku w czasie ukraińsko-rosyjskich pertraktacji, których rezultatem była ugoda perejasławska. Podczas jej podpisywania carski pełnomocnik powołał się na metaforę Kijowa jako niegdysiejszego gniazda «carskiego orła». W myśl tej metafory Ukraińcy zostali potraktowani jako «ruski» demos, który wraca na łono jednego, wspólnego narodu. W XIX wieku owo przekonanie zostało wzmocnione przez termin «trójjedynego narodu rosyjskiego», który tworzyli Rosjanie wraz z Ukraińcami i Białorusinami. Począwszy od czasów Piotra I termin «naród» i «ojczyzna» również był używany na określenie jednego narodu w granicach jednego państwa”.

Zaloty i wykorzenienie
„Zacieśnienie relacji między Rosją a Ukrainą po roku 1654 uwypukliło silne różnice między oboma krajami” – pisze dalej Myrosłav Shkandrij. „Jeszcze na początku XIX wieku w oczach Rosjan Prawobrzeże i Lewobrzeże było traktowane jako obce terytoria, a znaczna część ich historii i geografii pozostawała nieprzyswojona przez integracyjne narracje imperialne. Dlatego też wraz ze zintensyfikowaniem nacjonalistycznej i imperialnej ideologii rozpoczął się proces «udomawiania» ukraińskiej historii i kultury. Ów proces skrzyżował się z innymi rosyjskimi narracjami imperialnymi,

przede wszystkim z opisem Kaukazu i Polski, na pierwszy plan zostało wysunięte pokonanie zapiekłego oporu tubylczych narodów. Imperialne spojrzenie na Kaukaz i Polskę raz po raz uwidoczniało się także w dyskusjach o Ukrainie. Przejawem tego było nawoływanie do zachowywania wierności imperium, usprawiedliwianie narzuconej politycznej zwierzchności i hegemonizacji kultury, surowe osądzanie buntów, eskalowane pod wpływem wojennych zwycięstw, nasilenie ekonomicznego bogacenia się i nieustannego przypominania o prowadzonej misji cywilizacyjnej. Przy czym imperialny stosunek Rosji do Ukrainy przybierał różne formy: czasami przypominał kuszące zaloty małżonka, a innym razem – okrutne wykorzenianie inności".

Istotę owych zalotów celnie i jaskrawo wyraził już w XIX wieku Taras Szewczenko, który w literaturze ukraińskiej odgrywa tę samą rolę, co w Polsce Adam Mickiewicz, a w Rosji Aleksander Puszkin. Szewczenko w swym poemacie „Kateryna" (notabene dedykowanym rosyjskiemu pisarzowi Wasilijowi Żukowskiemu) pisze: „Kochajcie się, czarnobrewe, / Lecz nie z Moskalami, / Oni obcy, litować się / Nie będą nad wami. / Moskal tylko żartem kocha, / Żartując porzuci, Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę, / Dziewczynę zasmuci…" (przekł. Bohdan Łepki). Współcześnie znacznie bardziej dosadnie, choć nie mniej wyrafinowanie poetycko wyraził to Wołodymyr Rafiejenko w powieści „Dołgota dniej / Dovhi czasy", (2018), wydanej po polsku przez KEW pod tytułem „Najdłuższe czasy" (przekł. Marcin Gaczkowski i Anna Ursulenko, 2020). Powieść ta zarówno samym Ukraińcom, jak i nam, mieszkańcom pozostałych krajów europejskich, szczególnie zaś obszarów postkomunistycznych, pomaga dogłębnie zrozumieć meandry ukraińskiej duszy, zwłaszcza w jej kolonizującej, cynicznej i agresywnej relacji z duszą rosyjską. Rafiejenko ową relację wpisuje w figurę starego imperialnego szelmy, lubieżnego Don Juana – diabła (stanowiącego swoistą syntezę biesów, których literatura doby rosyjskiej, a potem radzieckiej nie szczędziła czytelnikowi: biesy Dostojewskiego, Woland Bułgakowa – postuluję zapis zgodny z polską ortografią dla pisowni nazwisk rosyjskich – czy diabelskie zwodnicze siły z prozy Gogola, mały bies z powieści Fiodora Sołoguba, tekstów Sałtykowa-Szczedrina itd.), który zadaje wielokrotny gwałt narodowemu ciału ukraińskiemu, przewrotnie je przekonując, że sprawia to owemu ciału/Ukrainie przyjemność. To jest właśnie to, z czym dziś mamy do czynienia w przypadku gwałtów zadawanych ukraińskim dziewczynkom i kobietom przez wysłańców „denazyfikacyjnej operacji specjalnej" Putina, a wcześniej, podczas II wojny światowej przez wyzwolicielską Armię Czerwoną, niosącą światu pokój od hitleryzmu. Kobiety ukraińskie, wielokrotnie gwałcone przez sowieckich żołnierzy, by skrócić swoje męczarnie, wieszały się na własnych warkoczach. Czytelnik polski przeczytać o tym może choćby u Oksany Zabużko w „Muzeum porzuconych sekretów" czy u Mariji Matios w przejmującej „Słodkiej Darusi". Niech nas zatem nie dziwi liczba kobiet ukraińskich uciekających z dziećmi poza granice Ukrainy – one doskonale pamiętają, przeważnie z rodzinnych przekazów, bo w oficjalnym obiegu wspomnienia o tym były zablokowane przez sowiecki reżim – czego mogą się spodziewać od mężczyzn rosyjskiego, jakoby „bratniego narodu".

Wróćmy do Shkandrija: „Piśmiennictwo rosyjskie tworzyło literacki obraz Ukrainy za pomocą szeregu hegemonialnych struktur narracyjnych, wyposażonych w odpowiednio dobrany system metafor i figur. Wszystko to razem krystalizowało imperialny dyskurs w zbiór fundamentalnych, symbiotycznie powiązanych komponentów: anarchiczny charakter pogranicza, funkcjonowanie jedynego «ruskiego» narodu, bezgraniczna przestrzeń, siła i chwała imperium, nieuchronność samodzierżawia, organiczność rosyjskiego narodu, unikatowa misja Rosji, legitymizowanie ekspansji i zbawienna natura asymilacji".

Jednemu carowi podległy

Warto przytoczyć kilka jaskrawych przykładów tworzących kanon imperializmu literatury rosyjskiej. Teofan Prokopowicz swoją przemową na cześć zwycięstwa Piotra I pod Połtawą w 1709 roku zapoczątkował długą listę utworów wychwalających potęgę carskiej władzy i jej wojenne sukcesy. Gawriła Dzierżawin, uznawany za najwybitniejszego poetę rosyjskiego klasycyzmu, pisał ody o

sławie i potędze Rosji, wychwalał sukcesy imperialne Katarzyny II, wojennych kampanii generała Aleksandra Suworowa w Europie czy generała Waleriana Zubowa na Kaukazie i w Persji. W odzie „Na wzięcie Warszawy” pisał (podaję w przekładzie Adama Mickiewicza, który w drugim tomie wykładów „Literatury słowiańskie” dał przenikliwą analizę patologii rosyjskiego imperializmu, s. 195–197; tekst dostępny w internecie): „Ty narodzie podobny do piorunu, […] ze wszech stron mocny, jednoduszny, / umiesz pogardzać śmiercią i znojem. / Ty jednemu Carowi podległy, / z nim popierać wiarę zdołasz tylko wojną. / Wielki duchu! Twój Bóg z tobą. / Na co ci sojusze? – O Rosyo! / Daj krok naprzód – a cały świat będzie w twym ręku!”. Z kolei Nikołaj Karamzin, rosyjski historyk i pisarz doby sentymentalizmu, to przykład działacza kulturowego, który żarliwie objaśniał, a przez to i legitymizował przyłączanie i kolonizację przez Rosję wielu uciemiężonych narodów w imię zachowania jej imperialnej potęgi. Nierosyjskie narody imperium rosyjskiego nazywał „zabawkami w rękach światowej polityki”. Dla potomności zapisał się jako autor „Historii państwa rosyjskiego” (1816–1826), dającej ideowy fundament pod rosyjskie samodzierżawie.

Dla przedstawionej tutaj problematyki kluczowe będą również opinie głównego teoretyka rosyjskiego rewolucyjnego demokratyzmu i okcydentalizmu Wissariona Bielinskiego (1811–1848), pisarza, krytyka literackiego, filozofa. Demokratyczne horyzonty Bielinskiego dopuszczały istnienie kultury ukraińskiej jedynie jako imperialnej egzotyki, kultywowanej w tym samym duchu, co dyskurs orientalny przez Zachód: „Małorosja – to kraj poetycki. Małorusini obdarzeni są niepowtarzalnym humorem. Miłość stanowi podstawowy żywioł ich bytu. Dodajcie do tego azjatyckie rycerstwo, znane pod nazwą zręcznego kozactwa – a wówczas zgodzicie się ze mną, że trudno znaleźć bardziej natchnione źródło poezji niż małorosyjskie życie”. Stąd właśnie wypływało uznanie Bielinskiego dla Nikołaja Gogola – twórcy mitu Ukrainy jako świata odchodzącego w zapomnienie. Kiedy jednak pojawił się na literackiej arenie imperium rosyjskiego Taras Szewczenko, tworzący emancypacyjny mit Ukrainy, Bielinski nie zdołał ukryć gniewu, pisząc o Ukraińcach: „To plemię może mieć tylko ludowe pieśni, ale nie może mieć poetów, a tym bardziej – wielkich poetów”. Bielinski wręcz entuzjastycznie przywitał zesłanie Szewczenki w 1847 roku do karnego korpusu w Orenburgu (następnie do Orska i Nowopietrowska; na zesłaniu przebywał do 1857 r.) z zakazem malowania i pisania. Było to bezpośrednie następstwo Szewczenkowej działalności w tajnym Bractwie Cyryla i Metodego, a pośrednio – antyimperialnych dzieł, jawnie potępiających carski despotyzm wobec skolonizowanych narodów (poematy „Kaukaz”, „Sen” i misterium „Wielki loch”).

Miłość na śmierć i życie

Z kolei w roku 1868 Aleksiej Chomiakow i Nikołaj Danilewski w pracy „Rosja i Europa” uprzejmie stwierdzają, że przeznaczeniem małych narodów, pozostających w granicach imperium, było „stopniowe i niezauważalne zlewanie się” z panującym narodem, „bycie przez niego asymilowanym i przyczynianie się do zwiększenia różnorodności jego historycznych przejawów”. Do idei wyświetlonych w tej książce odwoływał się Fiodor Dostojewski, kiedy w swym „Dzienniku pisarza” nawoływał do zjednoczenia się wszystkich Słowian w związek, któremu przewodzić będzie Rosja jako gwarant cywilizacyjnego postępu: religijnego, kulturowego i politycznego. Natomiast w „Idiocie” (1968) pisarz daje czytelną literacką wykładnię misji Rosji jako narodu wybranego, który ma uleczyć chory Zachód: „Pokażcie mu przyszłe odrodzenie całej ludzkości i jej zmartwychwstanie, co może sprawić tylko myśl rosyjska, rosyjski Bóg i Chrystus, a zobaczycie, jaki olbrzym potężny i szczery, mądry, łagodny powstanie przed zdumionym światem, zdumionym i strwożonym, gdyż oni spodziewają się od nas tylko miecza, miecza i gwałtu”; „Trzeba, by na odparcie Zachodu zajaśniał nasz Chrystus, którego myśmy zachowali, a którego oni nie znali nigdy”. Idee te Dostojewski później umacnia wyraźnie w „Biesach” (1870) – ustami Szatowa, formułującego wykładnię misji narodu rosyjskiego jako Bogonoścy – następnie w „Młodziku” (1875) oraz „Braciach Karamazow” (1879). I jak pisze krakowska rusycystka profesor Anna Raźny („Politeja” 2018, nr 4): „Dzięki wysiłkowi dziesiątków badaczy Dostojewskiego tezy o misji narodu rosyjskiego wygłaszane przez Myszkina, a następnie Szatowa – ugruntowane wypowiedziami samego autora w Dzienniku pisarza – weszły do

kanonu słów kluczy i «skrzydlatych słów» obowiązujących każdego badacza kultury rosyjskiej. Przed każdym kolejnym stoi jedynie zadanie wykazania tego, co stanowi o ich imponderabiliach i wzajemnych powiązaniach budujących w sferze idei i wartości dzieła Dostojewskiego strukturę ciągłości i powracającej w różnych epokach aktualności".

W tym z konieczności zdecydowanie zbyt pobieżnym przeglądzie rosyjskiej imperialnej miłości „na śmierć i życie" wobec Ukrainy nie może też zabraknąć innego „frontmana" rosyjskiej inteligencji, choć już tej spod sztandarów bolszewickich, Maksyma Gorkiego. Autor „Na dnie" za wyjątkowo niedorzeczny uznał pomysł, by przełożyć jego powieść „Matka" na, jak stwierdził, „ukraińskie narzecze". Gorki tym samym w zasadzie powtórzył pogląd rosyjskiego carskiego ministra spraw wewnętrznych Piotra Wałujewa, który wydając w 1853 roku cyrkularz ograniczający swobodę wypowiedzi twórców ukraińskich, twierdził: „nigdy nie było, nie ma i nie będzie samodzielnego języka ukraińskiego; język »małorosyjski« to jedynie narzecze języka rosyjskiego, zepsute przez język polski". Tytułem uzupełnienia dodam tylko, że w 1875 roku została powołana z polecenia cara Aleksandra II tajna komisja do „rozprawienia się z ruchem ukrainofilskim", który mógłby zagrozić jedności imperium. Konsekwencją prac komisji było wydanie w 1876 roku tzw. ukazu emskiego, aktu drastycznie represjonującego kulturę ukraińską. Ukaz zabraniał używania nazwy „Ukraina", drukowania książek, broszur, prasy i przekładów (nawet z rosyjskiego) w „narzeczu małoruskim", a także wwożenia z zagranicy na terytorium całego imperium rosyjskiego wszelkich wydawnictw wydrukowanych po ukraińsku. Zabraniał także wystawiania ukraińskich spektakli teatralnych i drukowania ukraińskich tekstów do utworów muzycznych. Nauka w szkołach miała być odtąd prowadzona wyłącznie w języku rosyjskim. Z bibliotek szkół wszystkich szczebli usunięto książki w języku ukraińskim. Nauczyciele i wykładowcy uniwersyteccy, pochodzący z okręgów szkolnych: kijowskiego, charkowskiego i odeskiego, mieli być przeniesieni na terytorium wielkoruskie, a ich miejsce zająć mieli Rosjanie. Dokument był tajny, jego pełny tekst opublikowany został po raz pierwszy w roku 1930. Był to akt, który na długi czas zablokował rozwój kultury ukraińskiej na terenach wchodzących w skład imperium rosyjskiego. Inicjatywę podtrzymującą jej rozwój przejęły wówczas elity z części ziem ukraińskich wchodzących w skład Austro-Węgier.

Nie mniej interesująco w kontekście antyukraińskiego kulturowego imperializmu rosyjskiego prezentuje się inna ikona „wielkiej kultury rosyjskiej" – Michaił Bułgakow. Swój negatywny stosunek do ukraińskości najjaskrawiej wyłożył w sztuce „Dni Turbinów", napisanej na motywach powieści „Biała Gwardia" (1924–1925). Przypomnę: jej bohaterowie, wywodzący się z rosyjskiej inteligencji, żyjący od pokoleń w Kijowie, nie mogą pogodzić się z narastającą w mieście dominacją żywiołu ukraińskiego. Działania wojenne armii Petlury zostały przez Bułgakowa przedstawione w konwencji podszytej nienawiścią rodem z operetkowej farsy. Główną winą za utratę przez Kijów, tę „matkę miast ruskich", swego rosyjskiego imperialnego sznytu pisarz obciąża Petlurę, którego kreuje w wyjątkowo znieważającym świetle. Niechęć do Petlury, jak też i wszystkiego, co w Kijowie ukraińskie, zdaniem Myroslava Shkandrija swój prototyp posiada w opowiadaniu „Kijów-miasto" z roku 1923. W utworze tym autor „Mistrza i Małgorzaty" wyraża życzenie, by znów wrócił carski świat jego Kijowa, a pamięć o Petlurze na zawsze zginęła. Na tym poprzestanę, choć przedstawione powyżej egzemplifikacje w żadnej mierze nie wyczerpują antyukraińskiego repertuaru kultury rosyjskiej (zwłaszcza okresu radzieckiego).

Wolny naród wolnych ludzi

Naturalnie zwolennicy „wielkiej kultury rosyjskiej" mogą natychmiast obalić moje argumenty jednym stwierdzeniem, iż wszystkie one przemawiają ni mniej, ni więcej, jak na korzyść właśnie niedającej się prosto wytłumaczyć dialektyki duszy rosyjskiej, tej, o której Fiodor Tiutczew – uosobienie kwintesencji imperialnego rosyjskiego panslawizmu – pisał: „Umysłem Rosji nie zrozumiesz, / I zwykłą miarą jej nie zmierzysz: / Postać szczególną ona ma – / W Ruś można tylko wierzyć". Otóż mojej wypowiedzi patronuje dokładnie ta sama, acz ujęta w odbiciu lustrzanym, idea:

„Umysłem Ukrainy nie zrozumiesz, / I zwykłą miarą jej nie zmierzysz: / Postać szczególną ona ma – / W Ruś (czyli Ukrainę) można tylko wierzyć”. Zabiegowi memu przyświeca myśl Mykoły Chwylowego (1893–1933), jednego z najważniejszych ukraińskich intelektualistów, pisarza, publicysty, działacza kultury, patrona i głównej siły sprawczej ukraińskiego odrodzenia narodowo-kulturowego lat dwudziestych XX wieku, zakończonego tragicznie w latach trzydziestych stalinowską fizyczną eksterminacją elit intelektualnych, czemu towarzyszył także brutalny proces duchowego wykorzeniania społeczeństwa ukraińskiego przez blokowanie i wymazywanie pamięci o osiągnięciach intelektualno-artystycznych tamtego czasu. Stąd Jurij Ławrinienko, ukraiński emigracyjny literaturoznawca, ściśle współpracujący po II wojnie światowej z Jerzym Giedroyciem, nazwał ten okres „rozstrzelanym odrodzeniem”. Ukraińskość Chwylowego była świadomym życiowym wyborem (urodził się w rodzinie rosyjskiego nauczyciela, prawdziwe nazwisko Fitilow), a tworzenie projektu niezależnej ukraińskiej tożsamości – centralnym projektem życiowym. Jego teksty literackie, publicystyczne, działania organizacyjno-kulturalne – wszystko zostało podporządkowane kwestii zmobilizowania Ukraińców, by podjęli nieprosty wysiłek oswobodzenia swych umysłów z jarzma kultury rosyjskiej i radzieckiej. Kwintesencją jego antykolonialnych i antytotalitarnych wysiłków są błyskotliwe pamflety na czele z głośnym tekstem „Ukraina czy Małorosja?”, zakazanym przez cenzurę od jego opublikowania w 1926 roku aż do końca trwania Związku Sowieckiego.

Zawarte w pamfletach Chwylowego hasła są w zasadzie tymi samymi, o które walczą dziś Ukraińcy, na czele z dokonującą się na naszych oczach reeuropeizacją „zakorzeniającą w ukraińskości” (w odróżnieniu od rosyjsko-radzieckiego projektu kolonizacyjnego wykorzeniania). W obliczu zakazu rozpowszechniania pamfletu Chwylowy pisze w 1927 roku powieść „Dzikie kaczki”. Ukraińscy czytelnicy mogli zapoznać się tylko z jej pierwszym tomem, bowiem drugi został skonfiskowany jeszcze w drukarni. Zakończenie książki pozostaje do dziś zagadką. To utwór-dyskusja, podejmujący bezlitosną rozprawę z imperializmem kultury rosyjskiej, którego w przekonaniu Chwylowego najdoskonalszym ucieleśnieniem, a przez to i najgroźniejszym w swej nośności ideowej, była twórczość Dostojewskiego. Stąd główni bohaterowie „Dzikich kaczek” już w swych nazwach – Dymitr Karamazow i Agłaja – odsyłają wprost do idei, której nośnikami są te postacie w dorobku autora „Zbrodni i kary”. Mykoła Chwylowy w swojej powieści poddaje ich narodowo-ideowej inwersji. Wyrazicielką ukraińskiej idei jest Agłaja, która będąc alter ego samego pisarza, wie, że Ukraińcy, aby przeżyć jako wolny naród wolnych ludzi, fanatyzmowi rosyjskiego mesjanizmu muszą przeciwstawić swoją własną ideę o sile nie mniejszej niż moc ideologii rosyjskiej. Dlatego Agłaja, jako potomkini starodawnego ukraińskiego rodu szlacheckiego, śmiało odrzuca iluzje komunizmu i podejmuje walkę ze skrywającą się pod nim, niezmiennie tą samą, imperialną rosyjską przemocą. Jej orężem staje się żarliwa wiara w mesjanistyczną rolę odrodzonej Ukrainy jako centrum walki z rosyjskim kolonializmem. To ta sama wiara, która patronuje zmaganiom dzisiejszej Ukrainy, broniącej przed rosyjskim najeźdźcą swej ukraińskości jako symbiotycznej części zachodniej a nie wschodniej cywilizacji.

Pijana rosyjska dusza

W obliczu wojny, bestialskiej, cynicznej, dziejącej się tuż za naszą granicą, której traumy doświadczamy od 24 lutego każdego dnia nie tylko w środkach masowego przekazu, ale również w mailowej korespondencji z naszymi znajomymi czy w bezpośrednich relacjach ukraińskich uchodźców szukających w Polsce schronienia, nie wystarczą tylko nonszalanckie stwierdzenia o metafizyce, mistyce etc. duszy rosyjskiej, której prawdziwa istota przejawia się w upojeniu alkoholowym. Takie „rozgrzeszające” argumenty znalazły się w opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” tekście prof. Tadeusza Klimowicza, rusycysty z Uniwersytetu Wrocławskiego. Czy naprawdę traumę pierwszego tranzycyjnego dziesięciolecia po rozpadzie ZSRS trzeba sprowadzić do „wypłaty w biustonoszach” i „wstydu Rosjan przed światem za nie tyle pijącego, co upijającego się Borysa Jelcyna”, a w konsekwencji sukcesu w wyborach prezydenckich Władimira Putina? Czy

ten cyniczny mit zalkoholizowanej, cierpiącej duszy rosyjskiej, który znalazł bogate odzwierciedlenie w literaturze rosyjskiej, może stanowić usprawiedliwienie dla najpierw rosyjskiej, a potem sowieckiej i teraz znów posowieckiej przemocy Rosji? Nie jestem przekonana, że tego typu wytłumaczenie wystarczy gwałconej dwanaście godzin przez rosyjskich żołnierzy Ukraince, która przeżyła to bestialstwo, lecz jak mówi, marzy, by umrzeć. Wciąż mam w pamięci moje wrażenie odrazy po lekturze na pierwszym roku studiów powieści Michaiła Lermontowa „Bohater naszych czasów", w której protagonista Pieczorin z najobłudniejszym kolonialnym wyrafinowaniem „miłośnie" zawojował Belę, mieszkankę poddanego rosyjskiej konkwiście Kaukazu. Zresztą motyw imperialnego uwodzenia, kuszenia Lermontow wykorzystuje w swych tekstach bardzo często. Najpełniejszy tego wyraz znajdziemy w poemacie „Demon", nad którym pisarz pracował większą część swojego życia. Utwory te należą niezmiennie do kanonu edukacyjnego w rosyjskich szkołach (i, jak się można domyślać, na wszystkich na świecie rusycystykach), tworząc rdzeń „wielkiej kultury rosyjskiej". Czytelnik zaciekawiony innymi egzemplifikacjami tej materii znajdzie je w wydanej w Polsce w roku 2000, wciąż dostępnej w sprzedaży książce Ewy Thompson „Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm", która wnikliwie omawia imperialno-kolonizujący wymiar twórczości oprócz już przywołanych autorów także tuzów tej miary co Aleksander Puszkin, Lew Tołstoj, Aleksander Sołżenicyn, Wiktor Astafiew, jak też legitymizujące ich imperialny status zideologizowane rosyjskie literaturoznawstwo. Ów zaintrygowany czytelnik, kiedy sięgnie po książkę amerykańskiej slawistki, natychmiast zrozumie, dlaczego do tej pory nie doczekała się ona przekładu w Rosji: naruszyła święte tabu. Rosjanie mogą dokonywać cenzury swej rosyjskiej duszy tylko sami i w sposób ustanawiany przez nich samych, zwłaszcza za granicą.

A zatem, uwzględniwszy, że literatura ma moc projektowania światów możliwych, oczywiste jest, iż literatura rosyjska, której kręgosłup tożsamościowy zbudowany z mieszanki przemocy oraz brutalnego i cynicznego nacjonalizmu i imperializmu wobec Innego, utrwalany w bezkrytycznej refleksji rzeszy kolejnych pokoleń przez rodzime instytucje edukacyjno-kulturowe, siłą rzeczy nie może rodzić w wyobraźniach jej odbiorców nieprzemocowego i antyimperialnego wyobrażenia i myślenia o świecie i o panujących w nim relacjach. Co więcej, owi długotrwale i notorycznie „skrzywdzeni i poniżeni" przy pierwszej okazji będą chcieli wziąć odwet, zmieniając się z ofiar w katów – długotrwale zadawana przemoc dewastuje człowieczeństwo (tu szczególnie polecam film z 2021 roku ukraińskiej dramaturżki, scenarzystki i reżyserki Natalii Worożbyt „Złe drogi / Pohani dorohy", traktujący o działaniach wojennych rosyjskiego agresora w Donbasie).

A jak literatura może „wyprzedzić" rzeczywistość, niech świadczą idące w wielotysięczne nakłady utwory współczesnych rosyjskich autorów z kręgu fantastyki politycznej, wychowanych wszak na „wielkiej kulturze rosyjskiej", w których odnajdziemy opisy rodem z „Ukrainy w ogniu" z 2022 roku, np. Grigorija Sawickiego „Pole bitwy – Ukraina. Złamany trójząb" (2009) albo teksty Gleba Bobrowa przepowiadające podstępną napaść NATO i innych zachodnich popleczników na Rosję i Ukrainę. „Rosja, broniąc siebie i ukraińskich braci przez napaścią z zewnątrz i rodzimą irredentą spod znaku banderyzmu i faszyzmu, bierze w opiekę całą Ukrainę, to znaczy wchłania ją na powrót braterskim sposobem, delektując się zwłaszcza opanowaniem Krymu i wschodnich prowincji sąsiada. Historyczne zwycięstwo świętują zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy". Utwory te idealnie współgrają z myślą czołowych rosyjskich putinowskich ideologów: Aleksandra Panariewa, Władisława Surkowa, Aleksandra Prochanowa, Michaiła Juriewa, ks. Wsiewołoda Chaplina, Fiedora Bierezina, Aleksandra Dugina.

Nędzne biesy

A zatem tak, wielka wspaniała literatura, kultura rosyjska jest odpowiedzialna za to, co dziś dzieje się w Buczy, Irpiniu, Borodziance, Hostomelu, Makarowie, Czernihowie, Mariupolu, Chersoniu. To właśnie tam, podobnie jak wcześniej w Afganistanie, Czeczenii, widzimy prawdziwych rosyjskich bohaterów naszych czasów: morderców, gwałcicieli, rabusiów, tysiące „miełkich/małych (czyli

nędznych) biesów", dodających sobie odwagi litrami kradzionego alkoholu, by z premedytacją celować do bezbronnej cywilnej ludności: dzieci, starców, kobiet, wyniszczać mężczyzn w wieku poborowym, którzy mogliby być przydatni ukraińskiej armii. I moralna odpowiedzialność solidarnie spada na cały naród rosyjski, bo nazwijmy rzecz po imieniu: ludność w Ukrainie morduje nie sam Władimir Putin i jego świta, a zwykli Rosjanie. I nie są żadnym usprawiedliwieniem dla popełnionych przestępstw wojennych nierzadkie tłumaczenia, że w wojnie w Ukrainie uczestniczą Rosjanie z dalekich peryferii rosyjskich, a nie z Petersburga czy Moskwy (potencjalnie mogłoby to okazać się za bardzo szkodliwe i niebezpieczne społecznie). Nie zapominajmy, że obywatele dalekich peryferii rosyjskich to też członkowie narodu rosyjskiego, wychowani w tym samym systemie oświatowym, a przyjmowanie takiego punktu widzenia jest typowo imperialnym stanowiskiem rosyjskiej inteligencji rodem z metropolitalnych elit, traktujących – w myśl wewnętrznej kolonizacji – azjatycką składową narodu rosyjskiego z lekceważeniem. Ton wspomnianej wypowiedzi pana profesora Klimowicza przypomina mi tonację wpisu z 21 marca na Telegramie Antona Dolinina, znanego rosyjskiego krytyka filmowego, który w geście protestu wobec wojny w Ukrainie opuścił Rosję. Tekst ten jest odpowiedzią na światowy bojkot kultury rosyjskiej, będący konsekwencją zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę. Skierowany do rosyjskich środowisk kulturalnych, nosi tytuł „Kultura zmiany i zmiana kultury" i, jakby się mogło wydawać, sympatyzuje z Ukrainą. Lecz czyni to w iście „imperialnie empatyczny" sposób. Czytamy tam: „Kultura rosyjska przez długie lata była dla nas dobrą wymówką. Tak, nie znamy demokracji, nie szanujemy jednostki, tolerujemy poniżenie. Jak to w starej rasistowskiej anegdocie: «za to jakie mamy piękne pieśni». Być może nasza kultura była tym powodem, dla którego Zachód tak długo tolerował Putina. I być może i my sami z tego samego powodu jego tolerowaliśmy. Przecież do kultury Putin zbytnio się nie wpychał. My zaś nie wpychaliśmy się w jego sprawy. On aresztuje niewinnych – a my biegniemy na Currentsisa. On zamyka stacje telewizyjne – a my do Galerii Tretiakowskiej na Wrubla. On rozpędza manifestacje – a my do kina i niekoniecznie na Bondarczuka, raczej bardziej na Zwiagincewa. Zróbmy przerwę. Jeśli kiedykolwiek w czymś wartościowa była kultura rosyjska, w której zawsze pełno było wszelkiego imperialnego draństwa, to było to miłosierdzie, umiejętność pochylenia się nad poniżanymi i krzywdzonymi. Mały człowiek to przecież termin z literatury rosyjskiej, a nie z Kafki. W imię tego samego miłosierdzia przestańmy już opłakiwać odwołane premiery, spektakle, koncerty. Chociażby na czas, kiedy idzie wojna".

Mniemam, że w imię tego samego miłosierdzia dla „małego człowieka" rosyjska rakieta została wysłana w tłum oczekujących przed dworcem w Krematorsku na ewakuację – miała wszak napis „dzieci" (proszę mnie nie posądzać, że nie znam kulturowego znaczenia terminu „małego człowieka"). By wspomnieć o słynnej „jednej dziecięcej łzie" (ją także przywołuje Dolinin w swym poście), która gdyby miała spaść z powodu jakiejś idei, to idea ta – nawet jeśli najbardziej szczytna – musi być odrzucona, jak ustami Iwana Karamazowa głosił Dostojewski… Co w takim razie z płaczem ukraińskich dzieci gwałconych przez rosyjskich żołnierzy wychowanych w rzeczonej kulturze miłosierdzia? Albo dzieci będących świadkami gwałcenia ich matek? Czyżby cierpienie i poniżenie ukraińskie miało „inny przelicznik"? Czy może to stwierdzenie Dostojewski odnosił tylko do cierpienia rosyjskiego dziecka?

Głos ofiar

Tak więc zarówno w wypadku wypowiedzi Dolinina, który,\ zamiast nawoływać do aktywnego protestu, choćby w duchu artywizmu, przeciwko wojnie na Ukrainie, nawołuje do zaprzestania lamentu nad lawinowo odwołanymi zagranicznymi premierami, wystawami, koncertami – „choćby na czas, kiedy idzie wojna" – jak i w wypadku retoryki wypowiedzi pana profesora Klimowicza, idzie o pewien typ wrażliwości intelektualnej, która w sytuacji wojny domaga się najwyższego rejestru empatii wobec krzywdzonych i poniżanych. W te dni, kiedy właściwie na naszych oczach giną rzesze Ukraińców w imię kolejnej „zbawiennej asymilacji" z wielkim narodem rosyjskim, jak przekonuje Rosjan i resztę świata putinowska propaganda, może bardziej na miejscu byłaby kolejna refleksja

nie tyle nad tym, co u nas i na świecie już bardzo dobrze rozpoznane i opisane o Rosji, lecz nad tym, w jakim duchu zostały wykształcone pokolenia polskich, i nie tylko, rusycystów, rosjoznawców oraz wszelkich sympatyków rosyjskości, skoro nie potrafią bądź nie chcą dostrzec, jak niebezpiecznie niszczycielski potencjał agresywnego imperializmu zawiera „wielka kultura rosyjska". Ach, ten Czajkowski i jego uwertura „1812 rok", a może Prokofiew i jego monumentalna opera „Wojna i pokój", patetycznie wychwalająca rosyjski oręż… A może antywojenne filmy radzieckie, rozpowszechniające kult dzielnie walczącej z faszyzmem radzieckiej armii… Jak one się mają wobec rosyjskiej armii obecnie bombardującej jakoby „ukraińskich faszystów" – a wśród nich byłych więźniów nazistowskich obozów koncentracyjnych, na co zresztą trafnie zwraca uwagę cytowany Anton Dolinin.

I wreszcie najważniejsze. Zdawać się mogło, że po doświadczeniach II wojny światowej oraz opresyjnej zależności od Związku Sowieckiego niemałej części kontynentu europejskiego nie powinniśmy mieć problemów z budowaniem świata według zasady dekolonialnego poliwersum, tj. świata sprawiedliwego, złożonego z wielu światów, samookreślających i samoprezentujących się – zarówno na forum wewnętrznym, jak i zewnętrznym – w pełnoprawnym podmiotowym polilogu, w którym doświadczenie z relacji imperialno-kolonialnej jest przekazywane głosem nie hegemona, a wielowiekowo podporządkowywanego, nie z metropolii/Rosji, a z miejsca zaznawania kolonialności/Ukrainy. Trwająca ósmy rok okupacja Ukrainy przez Rosję powinna nas wreszcie skłonić, by zdobyć się na dekolonialną intelektualną anarchię, a w rezultacie – dekolonialne „wiedzobójstwo" (epistemicide), którego celem byłoby zejście z utartych ścieżek myślowych. To z ich powodu staliśmy się zakładnikami (neo)imperialnych rosyjskich dyskursów i narracji, kreujących na forum międzynarodowym i wewnątrzkrajowym swój afirmatywny wizerunek. Dzieje się tak przewrotnie nawet wtedy, gdy ów wizerunek poddawany jest jakoby krytycznej wiwisekcji – bo wciąż, mimo że Rosja jest bestialskim agresorem, zajmuje lwią część odbiorczej uwagi, która z moralnego punktu widzenia mogłaby i powinna zostać skierowana na ofiarę.

Dlatego dość już na temat bolączek duszy rosyjskiej, którymi ekshibicjonistycznie karmiła nas na przestrzeni wieków „wielka kultura rosyjska" poprzez swych twórców i ich rzeczników, w tym również naukowców. Dziś wielką rolą mediów, środowisk naukowo-popularyzatorskich jest umiejętne, inspirujące oddanie prymatu suwerennej perspektywie nie-rosyjskiej. Zobaczymy wówczas, że świat oglądany i opowiadany z tej perspektywy wcale nie jest mniej atrakcyjny, a wręcz przeciwnie: znacznie ciekawszy, bo bardziej różnorodny, a i o wysokiej jakości, mogącej konkurować z aktualnymi tendencjami światowymi. Dzięki tego typu strategii mentalnej możemy zyskać nową wiedzę w odniesieniu do bezpośrednio otaczającego nas świata, tej części kontynentu, która jest nam samym właściwa, a dzięki temu także i wiedzy dotyczącej nas samych, w myśl zasady, że przez porównanie z Innym siebie poznajemy najlepiej. Wiedzę nie tylko na temat przeszłości czy teraźniejszości, ale też, co najważniejsze: naszego afirmatywnego projektowania sprawiedliwej przyszłości. W świetle powyższego nagle okaże się, że teatr Wiaczesława Meyerholda nie był unikatowym fenomenem kulturowym, jak przez dziesięciolecia nam wmawiano, bo w tym samym czasie w Kijowie i Charkowie działał genialny Łeś Kurbas, który stworzył własną, oryginalną i rewelatorską koncepcję teatralną. A ponieważ był niepokorny wobec reżimu sowieckiego (w przeciwieństwie do Meyerholda, który współpracował z władzą, co i tak na nic się zdało, bo został rozstrzelany w lutym 1940 roku), ten postanowił się z nim obejść jak najsurowiej, nie tylko deprecjonując jego dzieło i jego samego jeszcze za życia, zakończonego rozstrzelaniem w łagrze w 1937 roku, ale także dbając o to, by nawet pamięć o nim nie pozostała. Tylko dzięki nielicznie ocalałym współpracownikom Kurbasa i ich przezornej zapobiegliwości udało się przechować i odtworzyć osiągnięcia najpierw kijowskiego Teatru Młodego, a potem kijowsko-charkowskiego Teatru Berezil.

Zapomniana/zakazana kultura

Podobnie było z neoklasykami kijowskimi, którym przewodził wybitny intelektualista, profesor filologii klasycznej Mykoła Zerow – w kontekście ich twórczości najlepsza poezja rosyjskich akmeistów blaknie. Wycyzelowany intelektualnie kunszt poetycki neoklasyków kijowskich był dobrze znany polskiemu czytelnikowi międzywojnia poprzez recenzje, omówienia i tłumaczenia twórców z kręgu „Skamandra". Nie słyszałam jednak, by obecnie powstały na temat tragicznej doli neoklasyków jakieś audycje radiowe, w przeciwieństwie np. do Osipa Mandelsztama, którego ścieżki życiowe omawiane są tam wielokrotnie (szczególnie w programie II PR). Także w kontekście „heroicznego" wysiłku zachowania dla potomnych dorobku przez jego żonę Nadieżdę Mandelsztam. Taka audycja o trudzie żony Mykoła Zerowa, by pamięć o jej kongenialnym mężu nie zaginęła, u nas nie powstała (czyżby trud ukraiński był mniej ciekawy, mniej istotny?). Podobnie jak i o kapitalnym prozaiku lat 20. XX stulecia Waleriju Pidmohylnym, którego na wskroś egzystencjalną powieścią „Miasto" (ukr. wyd. 1928) w przekładzie na rosyjski mogli delektować się czytelnicy całego ZSRS, zanim jej twórca został w 1934 roku aresztowany, a w listopadzie 1937 roku rozstrzelany w sołowieckim łagrze.

Ile osób dziś u nas wie o protopostmodernistycznych tekstach Majka Johansena, powstałych jeszcze przed II wojną światową? O znakomitej, nieustępującej poziomowi ekspresjonizmu innych części Europy dramaturgii Mykoły Kulisza? O wytrawnej prozie intelektualnej Wiktora Domontowycza / Petrowa, którego powikłane losy do dziś nie zostały jednoznacznie wyświetlone z powodu niemożności dotarcia do dokumentów zamkniętych w tajnych archiwach KGB? Albo o niepoślednich lotów poetyckiej twórczości pisarzy z powojennego emigracyjnego kręgu Ukraińskiego Ruchu Artystycznego (Mystec'kyj Ukrajins'kyj Ruch)? Ile osób u nas wie, że prace Olgi Ekster, Aleksandra Archipenki, Anatolija Petryckiego wiszą w najlepszych światowych kolekcjach modernizmu obok dzieł najwybitniejszych międzynarodowej sławy twórców, choć wciąż zdarza się jeszcze, że te ukraińskie opatrzone są szyldem twórców radzieckich (sic!). Przykłady można by mnożyć.

W zasadzie każda epoka „wielkiej kultury rosyjskiej" wymaga gruntownej dekolonialnej weryfikacji, która dobitnie uświadomiłaby, jak agresywna polityka kulturowa Rosji, a potem i Związku Sowieckiego nadawała priorytet twórcom rosyjskim zarówno wewnątrz imperium, jak i na forum zagranicznym, obsesyjnie usuwając w cień narracje i dyskursy nierosyjskich kultur imperium lub ewentualnie je zawłaszczając, jeśli upatrywała w tym swój imperialny zysk (np. kino Ołeksandra Dowżenki). Dlatego może zamiast kolejny raz na łamach „Gazety Wyborczej" roztrząsać, „jak to Rosjanie źle sami o sobie pisali" (artykuł Pawła Smoleńskiego, dodajmy do tego tekst Marka Radziwona w polemice z Tadeuszem Klimowiczem – ten ostatni autor razy dwa, plus listy do redakcji, np. Krzysztofa Mieszkowskiego, w sprawie konieczności ochrony „cierpiącej kultury rosyjskiej" od spadających na nią gremialnie bomb ostracyzmu, plus Urszula Kozioł apelująca o opamiętanie się Jurija Adruchowycza, wyrażającego opinię na temat śmiercionośnego żądła imperializmu kultury rosyjskiej), przestawmy jednoznacznie zwrotnicę medialną na wyrobienie nowych smaków, gustów i retoryki, skoncentrowanych w pierwszej kolejności na wcale nie mniej pasjonujących obszarach kultur nierosyjskich naszego regionu. W tym kontekście dziś jak mało kiedy istotna jest rola nas, ukrainoznawców, by efektywnie nieść osiągnięcia kultury ukraińskiej do odbiorcy zagranicznego: nie tylko poprzez popularyzację wiedzy na jej temat w społeczeństwie, poprzez przekład literacki i naukowy, ale także poprzez wysoki i konkurencyjny standard studiów ukrainoznawczych. Moralnym obowiązkiem różnego szczebla instytucji Unii Europejskiej jest solidarne finansowe wsparcie tego typu działalności. Ukraina długo jeszcze po zakończeniu wojny będzie potrzebowała od nas takiej długofalowej zaangażowanej pomocy. Szczytnym jej przykładem jest świeżo powstałe Siostrzeństwo Polsko-Ukraińskie, będące w istocie Funduszem Wsparcia Kobiet i Dziewczynek z Ukrainy. Myślę, że kolejny ruch należy do nas, do międzynarodowego środowiska ukrainoznawczego.

Jeden łańcuch zgonów

Czas na transdyscyplinarną kooperatywę na rzecz nowej Ukrainy. Naszymi konstruktywnymi dyskursami i przedsięwzięciami na wielu polach naukowo-kulturowo-społecznego działania w dialogu z naszymi partnerami z Ukrainy zaświadczmy, że ukraińska kultura jest marką samą w sobie. Tylko w ten sposób można zapobiec „opowiadaniu" Ukrainy światu przez Putinowski neoimperializm. Intelektualista wobec wojny nie jest bezbronny: jego bagnetem ostre pióro. Wiedział to przywołany przeze mnie Mykoła Chwylowy. Dziś, kiedy znów rosyjski agresor dąży do wyniszczenia narodu ukraińskiego, nowej aktualności nabierają słowa z jego dystopijnej „Powieści o sanatoryjnej zonie": „[…] w dobie obywatelskich wojen – jestem żołnierzem rewolucji, a moje pióro – to ostry bagnet, który stale w pogotowiu. Wierzę, że w mrocznych oczach mojej niespokojnej pięknej republiki wreszcie zagra niebieski promień i odnajdzie ona to, czego tak długo szukała. A teraz martwi mnie tylko jedno: żałuję, że nie jestem nieśmiertelna. […] Bo pomyślcie: widzę nie tylko Chłonię, Anarcha, Maję, Kłonię i siostrę Katrię – widzę nowych, nieznanych ludzi, silnych jak lampart, przewidujących jak CzeKa i wolnych jak wola".

Dlatego jestem przekonana, że potomkowie dziś ginących Ukraińców, w geście utrzymania narodowej memorialnej łączności ze straconymi pokoleniami stalinowskiego terroru lat trzydziestych oraz II wojny światowej, nazwą pokoleniem „rozstrzelanego odrodzenia 3.0". Już dziś świadomość owej łączności ofiar reżimu sowieckiego z 1941 roku i dzisiejszej rosyjskiej agresji na Ukrainę wyraził Jurij Andruchowycz w felietonie z 8 kwietnia 2022 roku, opublikowanym w gazecie „Zbrucz" pt. „O kulach w potylicach", gdzie czytamy:

„To, że Rosjanie w Buczy zamordowali cywilów w liczbie proporcjonalnej do liczby ofiar z Demianowego Łazu (choć ani jednej, ani drugiej ostatecznie nie ustalono), nakłada się na inne podobieństwo: dziury z tyłu głowy. Czaszki z Demianowego Łazu i głowy z Buczy są dowodem tej samej technologii. Jej dziadkowie przekazali ją swoim wnukom jako świadectwo wielkiej kultury. Wnuki okazały się godnymi naśladowcami. Język rosyjski zna właściwsze słowo – następcy [posliedysze]. Przed nami antyświat ze swoją tradycją, antyludzkość ze swoim rytuałem. Przed nami bardzo trudna genetyczna dziedziczność. Demianowy Łaz i Bucza są z jednego łańcucha zgonów".

***

Tekst mój dedykuję wszystkim ukraińskim naukowczyniom i naukowcom, którzy z powodu żądnego krwi „miełkiego biesa" rosyjskiej duszy Władimira Putina musieli z dnia na dzień porzucić swoje własne życiowe scenariusze, dyktowane im przez ich niepokorne, antyimperialnie nastrojone ukraińskie dusze.

Tekst stanowi zmienioną wersję artykułu opublikowanego pierwotnie w języku ukraińskim na portalu zbruc.eu: https://zbruc.eu/node/111815